NUMER 38. DNIA 30. WRZESNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Dwa listy Stanisława Wyspiańskiego,

pisane z Bad Hall do Stanisława Eljasza Radzikowskiego w Zakopanem.

I.

dnia 6-ego Sierpnia 1904.

Mój Kochany!

Serdecznie Ci dziękuję za list. Jak Ty szczęśliwy jesteś, że możesz sobie oglądać zamki orawskie, a ja muszę zwiedzać wanny i deptaki. Nad Tobą tam fruwają ptaki, te, co mają szerokie, szerokie skrzydła. Tu ledwo wróble są koło mnie, wróble i koniki polne, i muchy — Tadek je chwyta i więźnie niewolne zamyka w pudełku od zapałek. Ty się tam napatrzysz rusałek w potokach i spadach halnych, ja przy pogodzie tu i dniach upalnych widzę damy w gorsety opięte, a Ty — Ty tam masz święte, pojone sośnianą wonią i wonią jodeł i widzisz je, jak się gonią, spłonione, spłoszone, a ja tu mam pola skoszone i jedną ledwo wronę, co kracze koło pfarkirchu — Ty możesz stać tam koło wirchu — i dumać nad kosodrzewem.

Stanisław Wyspiański.

II.

Mój Kochany!

Die Sonne nie tak świeci jak słońce,
choć jest równie parne i palące,
a heuszreki nie tak świerszczą jak dzwońce,
te nasze po ścierniach goniące.

diese ganze podsłoneczne wonne,
drzewa ciche w upale stojące
sammt wiesen, weiden und sonne
są nudne i uprzykrzające.

dzwony z pfarkirchu bijące
też obcym językiem dzwonią — —
o Słońce, Słońce, o Słońce!
nad Krakowem Słońce i nad błonią!!

6-go Sierpnia 1904. *St. Wyspiański.*

Prace o przyczynowości.

(Sprawozdanie z wyniku konkursu „Przegl. Filozoficzn.“).

(Dokończenie).

Sąd konkursowy przyznał pracy Dra Łukasiewicza „samodzielność, jasność i metodyczność“, orzekł, że „świadczy ona o energicznem, niezależnem od żadnych powag wmyśleniu się w sam problemat przyczynowości i wysoko rozwiniętem poczuciu ścisłości naukowej“. Powyższa ocena (w której każde słowo niewątpliwie ściśle zostało odważone) świadczy chyba najwymowniej o pracy i jej autorze. Rzeczywiście: najważniejszą zaletą dzieła jest jego bijąca w oczy oryginalność. Dr. Łukasiewicz podejmuje kwestję piekącą, niezałatwioną i rozwiązuje ją nie tylko niezależnie od tradycyjnej metody, ale wprost w opozycji do niej. Przyczem należy podnieść rzadko w polskich pracach filozoficznych spotykaną ścisłość wyrażeń, dokładność kompozycji, co świadczy wymownie o zdolnościach logicznych autora i ciętości jego filozoficznej myśli.

Autor wychodzi z założenia, że wydajemy bardzo często sądy o przedmiotach nieistniejących w naszej świadomości; w świadomości bowiem naszej występują wówczas tylko obrazy, oznaczające te przedmioty. Jestto na pierwszy rzut oka paradoks; wierzyliśmy dotychczas święcie w to rzekome prawidło psychologiczne, że nie mogę sądu wydawać o tem, czego nie spostrzegam. Ale przy bliższem rozpatrzeniu sprawy musimy zgodzić się na twierdzenie autora, choćby na podstawie wewnętrznego doświadczenia. Naprawdę bowiem dzieje się tak, że wydaję cały szereg sądów n. p. o Ameryce, a przedstawiam sobie ją tylko w postaci karty geograficznej; wykrywam prawa dotyczące koła abstrakcyjnego, a myślę o kole narysowanem na papierze. Na tym niewątpliwym fakcie opiera Dr. Łukasiewicz definicję pojęcia, jako przedmic
definicję inną, niż rozpowszech

czna. Ten jednak pogląd na pojęcie, który Dr. Łukasiewicz może nie wahałby się nazwać do pewnego stopnia platońskim, nie należy z platońskim identyfikować; autor mówi wprawdzie o przedmiotach abstrakcyjnych, ale nie przypisuje im bytu realnego, ani nie układa stosunków platońskich między nimi a światem realnym. Przedmioty abstrakcyjne realne mają tylko obejmować szeregi rzeczywistych, czyli inaczej: wszystkie ich cechy znaleść się muszą w każdym przedmiocie, pod nie podpadającym.

Nie wdając się w merytoryczną stronę dzieła, którąby wymagała bardzo gruntownego omówienia, chcielibyśmy tylko zrobić uwagę dotyczącą raczej jego metody. Otóż, jak długo autor zaleca konstruować przedmioty abstrakcyjne realne drogą indukcji, drogą wyszukiwania cech wspólnych, ufamy tej metodzie i godzimy się na nią bez zastrzeżeń. Tak samo przecież tworzą nauki indukcyjne swoje „typy“, n. p. pojęcie „zwierzęcia kręgowego“ w zoologji jest wyszukane drogą indukcji i składa się z cech, wspólnych wszystkim zwierzętom kręgowym. Jest ono przedmiotem tak samo abstrakcyjnym, a obejmując całą klasę istot rzeczywistych — realnym, tak samo, jak i „przyczyna“. Ale autor na tem nie kończy swej czynności konstruowania; on uzyskane indukcyjnie cechy bada jeszcze metodą dedukcyjną, t. j. wyszukuje cechy konsekutywne i usuwa możliwe sprzeczności. Tutaj rozpoczyna się dopiero nasz skropuł; obawiamy się, czy ten cały szereg operacji logicznych, dokonywanych na uzyskanym indukcją materjale, nie przemieni nagle przedmiotu abstrakcyjnego realnego w idealny. Nie twierdzimy, że tak się właśnie stało z „przyczyną“ autora, ale chodzi nam o formalną słuszność stosowanej metody. Wytłómaczmy się bliżej:

Otóż wiadomo, że indukcją uzyskujemy cechy wspólne przedmiotów jednej klasy i z nich dopiero konstruujemy pojęcie. Te cechy wspólne współistnieją zatem w każdym przedmiocie, należącym do tej klasy. Skoro więc współistnieją, czy może zajść wypadek, żeby współistniały j a k o s p r z e c z n e? Współistnienie realne kilku cech wyklucza stosunek sprzeczności między niemi. Stąd wynika, że dedukcja nie potrzebuje pod tym względem ich kontrolować.

dedukcja jest możliwą tylko wte-
pewne gotowe założenia,
dowolnie utworzone, czy
niu. Ażeby więc niezależnie od doświadczenia (dedukcyjnie) stwierdzić sprzeczności pewnych cech, wyprowadzać z konstytutywnych konsekutywne, trzeba mieć dokładne definicje tych cech. Czy to jednak zawsze możliwe? — a jeżeli możliwe, to czy te definicje nie będą dowolne? Skąd wiem o tem, że z tej a tej cechy wypływa taka a taka? Wiem to przeważnie z definicji, „a priori“, — ale czy wtedy mój przedmiot abstrakcyjny nie może się łatwo przemienić z realnego w — idealny? Dobrzeby się było stało, gdyby autor był realność „przyczyny“ bliżej określił.

Pracy Dra Łukasiewicza poświęciliśmy stosunkowo więcej miejca, gdyż zasługuje na to zaletami tak formalnej, jak i materjalnej natury. Z innych prac zasługują na wyróżnienie następujące:

„P r z y c z y n o w o ś ć j a k o p o d s t a w o w e p o j ę c i e p r z y r o d o z n a w s t w a“, przez Dra Wł. M. Kozłowskiego. W pracy tej chodzi autorowi o rozstrzygnięcie, czy można się w naukach przyrodniczych obejść bez pojęcia przyczynowości. Autor jest tego zdania, że pojęcie przyczynowości da się dobrze zastąpić pojęciem funkcjonalnej zależności. Praca Dra Kozłowskiego, napisana jasno i rzeczowo, dzieli się na ośm rozdziałów. W pierwszym omawia autor dynamiczne stanowisko w rozbiorze pojęć, w drugim podaje historyczny rozwój zagadnień połączonych z pojęciem przyczynowości, w trzecim poddaje krytycznemu rozbiorowi próby zastąpienia przyczynowości innemi pojęciami, w czwartym mówi o domyślnem założeniu, zawartem w matematycznej formie praw przyrody, w piątym omawia stosunek dwóch zasad, stawania się do zasady przyczynowości, w szóstym rozwodzi się nad przyczynowością w świecie zjawisk i pewnikami mechaniki, w siódmym odpowiada na pytanie, czy możliwa jest fizyka bez materji, w ósmym wreszcie mówi o przyczynowości i pojmowaniu naukowem. Pracy tej dla wielu jej zalet należy się niewątpliwie drugie miejsce w szeregu prac konkursowych.

„O p r z y c z y n o w o ś c i j a k o p o w s z e c h n e m p r a w i e d o ś w i a d c z a l n e m“ napisał Stanisław Kobyłecki. Autor dowodzi, że prawo przyczynowości ma objektywną wartość i nie da się zastąpić dokładnym opisem zjawiska. Przyczynowość jest o tyle powszechną zasadą w świecie, o ile doświadczenie dotychczasowe sięga. Prawo przyczynowości można sformułować w ten sposób: wszelka zmiana jest przyczy-

nowo zależną. Co się zaś tyczy zjawisk nieznanych dotychczas, to przyczynowość jest jedynym warunkiem ich poznania.

„O przyczynowości“ Stanisława Bobińskiego. Autor dzieli pracę na część krytyczną i część pozytywną. W pierwszej części zajmuje się krytycznym rozbiorem samego pojęcia przyczynowości, w drugiej zbadaniem treści pojęcia „przyczyna“. Przez związek przyczynowy rozumie autor jedynie stałe następstwa zjawisk, co mu jednak nie przeszkadza przypisywać związkowi przyczynowemu charakteru konieczności.

* * *

Tak się przedstawia plon konkursu; są tam rzeczy doskonałe, ale są i słabe. W każdym razie zyskaliśmy wiele. Praca Dra Łukasiewicza i Wł. M. Kozłowskiego, szczególniej Łukasiewicza to już oryginalne i trwałe dzieła twórcze; cieszmy się tym faktem, tem bardziej, że te plony wydała gleba, do ostatnich jeszcze lat zapuszczona i odłogiem leżąca.

T. Mianowski.

A. KALLAS.

Złudzenia i Rzeczywistość.

Z cyklu obrazków i szkiców „Na Rusi“.

(Dokończenie).

Ba! Żeby ino tyle! A raz to tak było: Wakacje już się kończyły: mój Nikita szykuje się jechać do miasta, ale smutny czegoś. Pytam: „Czego ty Nikita płaczesz?“ Bo widzę oczy od płaczu ma czerwone. A on obłapuje mnie za nogi i skarży się, że dużo mu trza będzie książek na ten rok szkolny. „A cóż zrobimy, synku?“ A on odpowiada: „Żebyście matulu zaszli do miasta, adres wam podam, nazwisko, ulicę i numer domu. Tam mieszka jeden profesor; jemu się pokłonicie, powiecie, że wam ciężko nastarczyć ze wszystkiem, a on, gdy zechce, książki wam da“. „A jakież to te książki?“ — pytam. A on: „Napiszę wam na karteczce“. „Dobrze, synku“. Pogadali my jeszcze i na drugi dzień wybieram się iść do miasta. Wszystko, co trza było, miałam na karteczkach wypisane. Zabrałam też z sobą kurkę czubatą, co się ano nieść zaczynała, bo i jakże przystąpić do kogoś w prośby z próżnemi rękami? Tak idę i zaszłam. Ludzi po drodze się pytałam i przystawałam przed każdym kościołem wypytać się i kartkę z adresem pokazać. Wreszcie utrafiłam. W kuchni przyjęła mnie pani, niby żona tego profesora. Potem weszłam na pokoje. Pocałowałam profesora w rękę i mówię jemu od początku wszystko, co i jak. Ażem się spłakała. A on wziąwszy moją głowę, tak mnie uchycił i w ramię pocałował.

— Dam wam matko książki dla syna — rzekł — i niech Bóg błogosławi wam i waszym dzieciom. I ja syn chłopski jestem i za mną może matka moja tak kiedyś prosiła...

Żona jego coś mu szepnęła na ucho, a on wtedy powiedział jeszcze:

— Weźcie sobie matko napowrót tę kurę, coście mi ją przynieśli.

I musiałam kurę wziąć, ale przez to i tak książki dostałam.

Zaśmiała się cicho, serdecznie, a ja szukałam śladów energji i wytrwałej woli w jej obliczu, dziś już w bruzdy pociętem; niebieskie źrenice wypłowiały, ale biło z nich jeszcze światło migającego ożywienia, które udzielało się całej twarzy. Ruchy miała żywe, jakieś przyspieszone. Obojętną jej była moja osoba, ale tem większa radość, że słucham jej opowiadania z niekłamanem zajęciem.

Kilka razy wśród naszej rozmowy przesunęła się przez obejście Zosia, zawsze czynna i cicha.

— Ciężko pracuje wasza jedynaczka — rzekłam — folgując myśli, która mnie już przedtem dręczyła. Taka cicha i potulna; przed nikim się nie użali, nie poskarży na nikogo.

— Ano my temu nie winni. To ona męża już ma takiego...

— Jakiego?

— Ano taki agitator, polityk, co to dla drugich i dla całego jest świata, ale niema go, żeby dopomógł żonie i żył dla familji.

Gdy domawiała stara słów tych, zbliżył się do nas ojciec Zosi i dodał:

— A tak! Tak jest!

Wymówił te słowa z jakąś urągliwą niechęcią. Dotychczas kręcił się koło chaty, zdala omijając miejsce, na którem siedziałam. Niewiadomo, czy nie rad był moim odwiedzinom, czy obojętną mu była rozmowa, jakąśmy z jego żoną prowadziły. Teraz przypatrując mi się z pod zesuniętych brwi, spytał:

— A pani niby skąd?

— Nietutejsza...

— To poznać.

— Nazwisko moje — dodałam z uśmie-

chem — nic wam nie powie, dobrzy ludzie. I nie pytajcie: kto, jakiej religji i jakiej narodowości jestem; dość, że waszą religję i waszą narodowość uszanować potrafię. A prawda, żeby tak dobrze było, gdyby wszyscy wzajem mogli to sobie powiedzieć, sumienia mając czyste i tylko wielką miłość bliźniego chowając w sercu. Każdemu wedle przyrodzonych jego praw. Sprawiedliwy wymiar praw dla wszystkich...

Mówiłam o tem dłużej i słuchali mnie uważnie. Ona uśmiechnięta, przytakująca nietylko ruchami głowy i rąk, ale okrzykami i poruszeniami całej postaci. On, milczący, ze zwieszoną głową, z plecyma opartemi o węgły chaty (siedział na przyzbie). Od chwili tylko do chwili podnosił ku mnie czarne źrenice o rozumnem spojrzeniu i twarz żółtą, obleczoną skórą twardą i pomarszczoną, z dwiema głębokiemi brózdami, które szły od nosa ku ustom zaciśniętym.

— Sprawiedliwość dla wszystkich... Ażeby tak! Ale kiedy się to stanie? Chyba za setki lat?

Ledwie znać było, że usta otwiera, gdy w urywanych tych słowach przytakiwał moim poglądom. A w ostatniem jego pytaniu odczułam znowu urągliwe szyderstwo.

Nastało milczenie i pomyślałam o tem, aby odejść.

Szare, ołowiane niebo, jakby coraz bardziej zniżać się poczęło ku ziemi, a na twarzy poczułam pierwsze krople deszczu, który spadać zaczął na ziemię w melancholijnej niemocy. W przeźroczysty jeszcze przed chwilą zmrok wieczoru napływała niewidomą falą ciemność nocy.

Pożegnałam tedy mieszkańców chaty i wróciłam do domu.

W najbliższą niedzielę odwiedziłam ich znowu, przynosząc z sobą gazety i książki dla Jana, a trochę ciast i cukierków dla dzieci.

Ale Jana nie zastałam; poszedł po coś do drugiej wsi.

Zosia z ojcem byli na nieszporach w cerkwi; w chacie została tylko babka z wnuczętami. Ponieważ mała Ksenia zaczęła płakać, babka wzięła ją na rękę i wyszłyśmy na ogród.

Był chłodny, szary dzień i słońce przeświecało tylko chwilami. Rośliny w ogrodzie warzywnym pociemniały i smutny jakiś nastrój panował w przyrodzie.

— Smutno dzisiaj — rzekłam.

— A [illegible]mutno, smutno! Zmartwienie też [illegible]iała stara.

— A o Zosię rzecz idzie. Bo cóż my? Starzy my już i nie wiele nam się już od życia patrzy. Gryzie nas niepokój o Zosiną dolę. Jedyna córka i takeśmy ją wydali. Tylko, że to już jej własna była dola. Nie my wybierali dla niej męża. Sama go sobie upatrzyła. A jaki on, to już i słyszała pani. Teraz za strajkiem agituje po wsiach. A ze młyna to go też ano wyrzucili, bo tę posadę miał przez księżą jejmość. Ale oto jejmość i ksiądz dowiedzieli się, że na nich przed ludźmi wygaduje; tak więc sprawili, że stracił tę posadę w młynie. A czy tak można, aby on z księdzem wojnę zaczynał? Przecie jejmość chrzestną jest matką do Kseni. Uwziął się robić księdzu przez złość i chce drugą czytelnię i jakąś kasę zaprowadzić we wsi. Z wszystkimi na udry żyje, a nam wypowiada i wypomina, żeśmy córce wiana nie dali, że po sprawiedliwości należałoby tak, aby jemu grunta zapisać. A my, póki życia, zapisu nie damy.

Słuchałam z prawdziwą przykrością i skorzystałam z pierwszej sposobności, żeby pożegnać starą i odejść.

W drodze do domu spotkałam Jana.

— I po co to pani do tych ludzi chodzi— rzekł, gdy się dowiedział, skąd wracam. — Wszyscy oni Moskalofile. I starzy i synowie. Na mnie się zawzięli, że nie chcę być, jako i oni. Gdybym wtedy, gdym się żenił, był miał to uświadomienie i ten rozum, co dziś, inaczej bym sobą pokierował.

— Czy należycie do partji Ukraińców? — spytałam.

— Należę do nowej partji radykałów... sam jeden z tej wsi, bo co ruskie tu, to wszystko moskalofilskie; wszystko, od księdza począwszy. Jaki pasterz, taka i owczarnia; bo tak bywa, że owczarnia głupia i sama za siebie myśleć nie potrafi.

— Więc trzeba ją do myślenia przyuczyć — podsunęłam, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej i poznać lepiej tę duszę chłopską, zbuntowaną przeciw wszystkim we wsi i samotnością już swą bohatersko-piękną.

— Ano, to się robi — odparł. — Będę walczył, póki tchu, aż coś przecie wywalczę.

Oczy mu błysnęły, lecz jak zauważyłam, pożałował wnet tej szczerości wobec obcej, bo obrzucił mnie nieufnem spojrzeniem i rzekł niechętnie:

— Dziw, doprawdy, że tu pani do nich chodzi; przecie to moskalofile...

— O tem nie wiedziałam. Przyszłam, nie znając, jakie mają przekonania; sądziłam, że nieuświadomieni jeszcze, albo że tak myślą i czują, jako wy czujecie i jakeście to przemawiali o tem pięknie wówczas, na wiecu. Nie wiedziałam, że są Moskalofilami...

Umilkłam, czując, że niechęć niby wąż-gad podpełza mi pod gardło i dusi.

Inne muszą przyjść czasy; wymazane muszą być z pamięci grzechy narodów i rządów, aby mógł przyjść jeden do drugiego, jak człowiek do człowieka, w każdym brata tylko widząc i bliźniego. Rzeczywistość zadała kłam złudzeniom. Bo nad miłość bliźniego, nad poczucie sprawiedliwego wymiaru praw dla wszystkich narodów i wszystkich ludzi, najsilniej odzywa się przecie instynkt miłości ojczyzny i poczucie doznanej krzywdy.

FELIKS GWIŻDŻ.

Ty i ja jedno jesteśmy...

Ty i ja jedno jesteśmy, o wietrze,
Pierś swą raniący o Tatrzańskie granie —
Nikt nam ran krwawych chustą nie obetrze
I nieukojne jest nasze błąkanie.

Choć czasem w mrokach znajdziemy Golgotę,
Stojącą w krwawej purpurze męczeństwa,
Śmierć w nas obudza straszliwą tęsknotę,
Wiodącą dalej — na zwycięstw zwycięstwa.

Więc znów pędzimy dalej, w pustać ciemną,
Przez miasta skalne i wymarłe lasy —
I nie rozłączysz się już nigdy ze mną — —
Cel nasz — iść wiecznie, poprzez wszystkie czasy...

Zakopane, 1906.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Ludność powiatu Dynańskiego, należąca do biskupstwa w Dol, składa się ze sfrancuziałych Bretończyków; ale obyczaje i nawet ubiór zupełnie pozostały celtyckimi. Prawda, że mężczyźni już przyjęli pantalony zamiast pluder, i porzucili malownicze bretońskie kurtki, obcięli długie włosy, spadające aż na plecy, a których utrata doprowadzała za moich czasów do rozpaczy bretońskich rekrutów; ale kobiety zatrzymały te nakrochmalone, ogromne kwefy, które zakrywają całą głowę bretońskich włościanek, tak, że włosów wcale nie widać. Chałupy, meble, osobliwie wielkie szafy dębowe, w których są umieszczone łóżka piętrami, jak podług JM. Paska w Danji bywało, naczynia kuchenne i narzędzia rolnicze, kuchnia z nieodstępnymi tatarczanymi naleśnikami i plackami, z owsianą papką i sydrem (jabłecznikiem) — wszystko jest najzupełniej bretońskie.

Nazwania miejscowości są także, chociaż nieco przekręcone, wyłącznie celtyckie: Lamballe (Lanbalen, łan janowca), Plancoët (Plonankoat, wieś pod lasem), Dol (stół), Redon (paprotna), Broons (sitowisko), Cancale, Evran, Matignon — wszystko to niema w sobie nic łacińskiego. Jest to przykład dobrowolnego wynarodowienia się, jak na. naszem Pomorzu, w Meklemburgji, na Dolnym Ślązku, w Irlandji, w Szkocji, w Styrji i w wielu innych krajach. Wyrodził się przeto silny antagonizm między francuskimi i celtyckimi Bretonami, albo jak mowią Górnymi i Dolnymi, chociaż wszyscy uprawiają bretoński separatyzm. Z tego ostatniego powodu cała okolica odznaczała się podczas wielkiej rewolucji w powstaniu monarchicznem, w tak zwanej szuanerji, i pokazywano mi jeszcze na targu piątkowym starych chłopów, znanych z tego, że rznęli, podpalali i przypiekali zawzięcie niebieskich (republikanów). Trzeba przytem zauważyć, że taki duch nie ma nic wspólnego z ideą monarchiczną, bo ta właśnie francuska czyli wyższa Bretanja nieraz powstawała przeciw Burbonom i nawet przeciw katolicyzmowi z Rohanami, w ogóle przeciw francuskiej centralizacji — teraz zaś księża i szlachta z tego separatyzmu korzystają, by szerzyć tam klerykalizm i monarchizm, ponieważ Republika popełnia znów wielki błąd trzymania się centralnej biurokracji, zamiast popierania federalistycznych zasad żyrondystów. Jak zresztą zawsze bywa we Francji, Paryż tak zaćmił resztę kraju, że dla samych Francuzów język i obyczaje, podania i interesy ich rozmaitych i bardzo różnorodnych prowincji są daleko mniej znane, niż Chiny lub południowa Afryka — cóż dopiero mówić o reszcie Europy! Dopóki też cała francuska rzesza nie zostanie uwzględniona, żadne rewolucje, konstytucje i socjologje nie pomogą i Francja będzie się ciągle chyliła do upadku.

W dawnej stolicy hrabstwa Dynańskiego ro-

słem sobie, jak Bóg przykazał, poznałem się z francuskiem abecadłem, i jedno z moich pierwszych nieprzyjemnych wspomnień jest znajomość moich palców z linją pana profesora, który mię przygotowywał do gminnej, po galicyjsku normalnej szkoły. Tam mi się urodziły dwie siostrzyczki, obie Emilje, bo starsza umarła przed przyjściem na świat młodszej w 1841 roku, a ja byłem niewinną przyczyną jej śmierci, bo się odemnie zaraziła szkarlatyną. Mieliśmy mnóstwo przyjaciół Francuzów, ale Polonia jakoś się wyniosła, głównie do Paryża, albo do większych bretońskich miast; w Dynanie nie było co robić, bo ani fabryk, ani koleji wówczas nie było. Mnie było wesoło, ale życie moich rodziców nie musiało być nader przyjemnem, pomimo ogólnej sympatji; mam też z lat dziecinnych wrażenie ciągłej tęsknicy. Mówiono w domu ciągle po polsku, bo babka ani rusz nie mogła się nauczyć po francusku, nawet dla zwykłej rozmowy, a że nasza Delfina w przeciągu kilkunastu lat trzech polskich wyrazów zapamiętać nie mogła, dzieci musiały być wiecznymi tłómaczami. Bardzo rzadko występowała niemczyzna, gdy nie chciano, bym zrozumiał i długo wyrazy *dji gance geszichte* były dla mnie pełne tajemniczości, zarówno ze starą niemiecką Biblją kochanej babuni. Tak zostałem polskim tłómaczem, bo ojciec siedział w biurze, matka, bardzo dobra pianistka i dobra przyjaciółka Szopena, dawała lekcje muzyki, póki jej zdrowie pozwalało; więc siedzieliśmy w domu z babką i słyszeliśmy narzekania na ową nieznośną Francję i gorące westchnienia do ukochanej Warszawki, gdzie wszystko było i lepsze i piękniejsze i tańsze — dopiero po dwudziestu latach miałem się przekonać, że kochana babcia grubo przesadzała.

Skorom umiał jako tako czytać po francusku, dobrałem się do ojcowskich książek i samem się po polsku nauczył czytać; pamiętam bardzo dobrze, jakem kombinował nieznane mi spółgłoski ze znaczeniem wyrazów; poszło mi to zresztą dość łatwo i w nagrodę dostałem na gwiazdkę (choinka była wówczas we Francji rzeczą niesłychaną i tem bardziej mię zachwycała) „Dzieje polskie dla wnuków“ Joachima Lelewela. Zresztą ponieważ w zabawach z rówieśnikami byłem zawsze upośledzony z powodu nader krótkiego wzroku, chociem się takiej przyczyny na-[illegible]ie domyślał, siedziałem najchętniej w sąsie-[illegible] *de lecture* (czytelnia i wypożyczalnia), [illegible]pożerałem najrozmaitsze książki, z których po większej części nic absolutnie nie rozumiałem. Stałem się przytem zapalonym wielbicielem geografji, otrzymawszy w 1843 roku wyborne dzieło Adrjana Balbiego, które dotychczas posiadam „*en récompense de mon application*“ (w nagrodę za pilność). Ta znajomość z geografją, wprost przeciwna francuskiemu wychowaniu, miała mi się później bardzo przydać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Starodawny zabytek języka polskiego.

W kościółku parafjalnym w Rymanowie miasteczku, w zakurzonej kapliczce, służącej dziś za skład dla bractwa na paki ze świecami, baldachim etc., znajduje się kuty w marmurze białym nagrobek. Zajmuje on całą jedną ścianę i jest wykonany w stylu renesansu. Nagrobek obramowany jest ornamentami w płaskorzeźbie tem szczególniejszymi, że na żadnej tabliczce nie powtarza się ten sam motyw.

Napisy wskazują, że spoczywa tu Jan Sienieński z Sienna, kasztelan halicki i żona jego Zofja z Paniowa, córka Jerzego Paniowskiego, starosty żydaczowskiego.

„Jan z Sienna zasnął w Panu, jadąc na wojnę z Moskwą w Słucku, dnia 1. sierpnia 1580, od narodzenia swego w 48 roku“.

Na nagrobku u góry znajduje się w leżącej postawie, kuty w marmurze pomnik Jana z Sienna, poniżej taki sam pomnik jego żony. U samego dołu mieści się w trzech kolumnach wiersz ośmiozgłoskowy, bez podpisu autora.

Wykutych jest 52 wierszy wielkiemi literami, bez interpunkcji i kreskowania zmiękczonych spółgłosek, oraz niema wcale „ó“.

Rzecz sama przez się zrozumiała, że na medalach, pomnikach, nagrobkach etc. napisy są zwykle zwięzłe, zawierające w jak najmniejszej liczbie słów obszerną o ile można treść.

Zobaczmy więc, na co w czasach Rejowskich w okolicach rodzinnych sławnych: Pawła z Krosna, Grzegorza z Sanoka i i. mógł się ktoś zdobyć. Wszak byle komu nie powierzono zapewne zredagowania napisu na nagrobku możnego kasztelana, napisu, mającego przetrwać wieki.

Utwór ten przytaczam w całości, a dla objaśnienia dodaję, że zamiast liter „cz“ zostawiłem samo „c“. Zresztą jest on dosłowny.

Nie dziwui się nic kamieniovi
Ani żadnemu znamieniovi
Ale się dziwui odmianie
Nac tesz tobie przyidzie panie
Biłem ia tesz iako człowiek
Poczciwiem zył prsez wszytek wiek
Otosz masz me osiadlosci
W małem grobie liche kosci
Nie dziwui się bracie mili
Jusz ci to stare nowiny
Isz ia tu leże w tem grobie
Pewniec takiesz bedze tobie
Widze bracie stąpasz pisno
Niewiem byc na dobre wiszło
Boc niedługo czekac tego
Ze tesz za mną skoczysz psiego
Niewiem czego upatruiesz
Jesli się herbam dziwuiesz
Pewnie skoroc smierc da kiiem
Isz mi wnet zostaniesz stryiem
Gdy czuzy grob oględujesz
Przecz tego nie upatruiesz
Izec richło ma na to przidz
Isz tesz w takiem sam musisz bic
Dziwna to rzecz na nędzniki
Isz gdy widzą nieboszczyki
Ize się ich przygodami
Nie karzą asz zginą sami
Jac tu czekam łaski bozei
Tobie byc nie może gorzei
Jesli na to nie pomyslasz
Isz tesz nato takiesz przyidz masz
Byłem ia tesz iako y ty
I miałem od szczęscia kwity
Patrz co mi smierc uczyniła
I na cięc kose ostrzyła
Nie dziwui się miły bracie
Isz tu leżę w tej komnacie
Snadnie ona pani skosą
Sprawi ze cię tesz poniosą
Kiedy patrzysz na grob cudzii
Radzęc niech cię strach pobudzi
Abyś swe czasy rozmysłał
K czemu mas przydz pilnie kryslał
Radzęc pilnie upatrowac
Gdy kogo prowadzisz chowac
Isz drudzy u drzwi czekaią
Co cię tesz prowadzic maią
Dziwne ludzkie przyrodzenie
Widząc groby i kamienie
Co umarłe przykrywaią
A przedsię swiata łapaią.

Treść, jak widać w tym dość obszernym utworze, nie jest ani bogatą, ani w całem znaczeniu słowa poważną, mimo utartych w niej morałów na temat znikomości tego świata. Niektóre wyrażenia, jak „skoczysz psiego“, „skoroc smierc da kiiem... zostaniesz mi stryiem“, nie licują według dzisiejszych wyobrażeń z powagą świętego miejca, a tembardziej nagrobka.

Co do formy, to jest ona bardzo prymitywna. Niedbałość o gramatykę w najwyższym stopniu, jedne i te same wyrazy pisane coraz innemi literami. Rytmika prostacka, licha. Mimo wszystko marmurowy ten rękopis posiada wartość, choćby z tego powodu, że jest polski, co wobec panującej łaciny jest zjawiskiem ciekawem. Wszak późniejsze o wiele pomniki noszą napisy łacińskie.

Może z zakurzonej kapliczki usunięte zostanie rupiecie, a konserwatorowie zwrócą uwagę na ten zabytek. Bo skoro on dziś poszanowania niema, to możliwe, że przy najbliższej restauracji kościoła obejdzie się ktoś z nim po barbarzyńsku.

Kazimierz Króliński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Przewóska Marja Czesława (Helia). Eliza Orzeszkowa. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga 1906.

„Jest ogień, więc jest i słońce, tylko płaszczem ciemności okryte. Rozedrze się kiedyś płaszcz czarny, bór stanie w gorącem złocie, zakwitną w nim konwalje i zaśpiewają ptaki“ — pisze Eliza Orzeszkowa w liście do autorki niniejszej książki, by w czterdziestoletnią rocznicę swej pracy autorskiej złożyć dowód swej wiary niezachwianej w przyszłość i zachęcić kobiety do dalszej pracy, której celem, aby one „nie wyrzekając się całkowicie stania się solą ziemi, przedewszystkiem i nadewszystko były jej miodem, a to miodem nie tylko tym, który goi rany, lecz przedewszystkiem i nadewszystko tym, który zapobiega ich zadawaniu“. O drodze zaś, jaką kobiety zdążać mają, by dojść do celu, szeroko mówi autorka, przedstawiając całokształt pracy Orzeszkowej w słowach pełnych gorącego umiłowania i uwielbienia dla tej „apostołki dostojeństwa kobiety“, która „w czci i wierności dla Idei-słońca, trzymając wysoko w nabożnych dłoniach swą lampę strażniczą w mrokach ciemnego boru, aby wędrowcy nocni nie schodzili na bagniska życia“, wiedzie ich ku lepszemu jutru.

Przed oczyma czytelnika stawia autorka owocną a niezmordowaną działalność Orzeszkowej, podaje krótki rys jej życia, omawia pokrótce twórczość literacką, a przedewszystkiem, szeroko i dokładnie, rozbiera jej znaczenie dla ruchu kobiecego. Książka bardzo na czasie, każda czytelniczka pozna, ile pracy trzeba, by spełnić posłannictwo kobiety. Nieświadome praw i obowiązków znajdą w niej wskazówki postępowania, słabe i znie-

chęcone — zachętę. Bo to książka o tej „mocarce serca“, w której żadne przeciwności nie zachwiały wiary w trudnej walce dla idei. *t. c.*

Renouvier K.: O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela, wraz z notatką o Renouvier przez J. Thomasa, przełożył K. Drzewiecki, str. 220. Warszawa. Gebethner i Wolff 1906.

Książka powyższa stanowi tom II. Bibljoteki filozoficzno-społecznej.

K. Renouvier należy do najwybitniejszych pisarzy filozoficznych Francji z drugiej połowy wieku XIX.; chociaż początki jego działalności naukowej sięgają jeszcze czasów poprzedzających rok 1848. Był to pisarz filozoficzny bardzo płodny, wytrawny i w znacznym stopniu samodzielny, który w ciągu całego swojego długiego życia, (umierając przed laty paru, miał z górą lat 80) bezustannie pracował, przerabiając i uzupełniając swój rozległy system filozoficzny. Ten ostatni nie był wolny od dużych wpływów dawnej metafizyki niemieckiej. J. Thomas w notatce swojej o Renouvier nie daje niestety czytelnikom żadnego wyobrażenia o koncepcjach filozoficznych tego pisarza. Wspomina natomiast krótko o jego działalności, wymienia jego dzieła i szczegółowiej zatrzymuje się nad genezą powstania jego pracy „O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela“, napisanego jeszcze w 1848 roku.

Nie mogę tu omawiać szczegółowo rozmaitych poglądów Renouvier, zaznaczę tylko charakter ich ogólny. Myśliciel francuski, stojąc na gruncie podstaw współczesnego ustroju społecznego, nie uznaje ich za bezwzględne, lecz przeciwnie wysuwa szereg postulatów, praktyczne zastosowanie których doprowadziłoby do znacznych reform w ustroju obecnym. Tak n. p. uznaje on prawo wywłaszczenia właścicieli ziemskich za odpowiedniem wynagrodzeniem. Uznaje w dużym zakresie interwencję państwa w stosunkach społecznych, zwłaszcza zaś między kapitałem a pracą. Uznaje postulat prawa do pracy. Zaleca tworzenie rozległych stowarzyszeń wytwórczych, przeprowadzenie postępowego podatku od dochodów i t. p.

Socjalizm utopijny z przed 1848 r. wywarł na myślicielu francuskim wpływ znaczny. Etyka chrześcijańska odbiła się na jego poglądach moralnych, a nawet i filozoficznych. Omawiana tu książka pisaną jest w formie djalogów ucznia z nauczycielem, przeznaczoną jednak nie jest dla dzieci, ani młodzieży, lecz dla obywateli w ogóle. Okoliczność ta właśnie stanowi słabą jej stronę, gdyż dla umysłów młodzieńczych jest ona niezupełnie odpowiednia, dla osób zaś dojrzałych za niedostateczna. Forma jej katechizmowa krępuje wykład autora, nie dając mu rozwinąć szerzej swoich myśli. Praca ta filozofa francuskiego nie daje też pojęcia o jego systemie, a twierdzenia w niej zawarte są zbyt apodyktyczne i rażą nas często swoją ogólnikowością i starzyzną.

Renouvier wypowiada często myśli szlachetne, formułuje je jednak pobieżnie i łączy je często z poglądami, nie dającymi się naukowo uzasadnić.

Pod względem społeczno-politycznym omawiana tu książka nie wystarcza obecnie; pod względem zaś moralno-filozoficznym jest powierzchowną.

Wybór jej nie jest odpowiedni. Wypada też wyrazić żal, że firma Gebethnera i Wolffa niema dobrych doradców naukowo-literackich, i że po raz drugi w dziale filozoficzno-społecznym robi wybór niewłaściwy. Przekład bardzo dobry. *L. Kulczycki.*

NOTATKI.

Znany „Skit Maniawski“ dziś w zupełnej ruinie posiada wiele zabytków w okolicy Maniawy. Opisywanym był przez Wagilewicza, Celewicza i innych, jednak brak jest dzieła, któreby traktowało o wszystkich zabytkach po dziś dzień jeszcze pozostałych i któreby je zebrało w pewną całość.

Mając sposobność widzenia ich, powiem o nich pokrótce.

I tak znajdują się luźne pamiątki w powiecie Bohorodczany: w Krzywcu pisane przez Monachów z prześliczną ornamentyką Irmologion, Apostoł, ewangelja z 17 stulecia, Tryfologion, druga ewangelja, bardzo stara w drewnianej oprawie, kupiona wedle zapisków od introligatora skitowskiego z najrozmaitszymi zapiskami, sukienny stary ornat i kilka rzeczy z cerkwi skitowskiej;

w Rakowcu ikonostas cerkwi Woznesenia ze Skitu; krzyż do rąk z drzewa cedrowego; zasłona z obrazu Matki Boskiej, kilka obrazów skitowskich, jeden z r. 1672 z napisem Antin Domaradzki; mały ołtarzyk, opisany podczas wystawy archeol. we Lwowie;

w Babczu płaskorzeźby i 4 obrazy skitowskie na drzewie malowane, z tych 2 w ikonostasie;

w Horocholinie djakońskie wrota z obrazem św. Antoniego Peczerskiego w oprawie nowszej;

w Łyściu prześliczny obraz duży Matki Boskiej ze Skitu;

w Grabowcu namiestny obraz Matki Boskiej szkoły monachów z Maniawy, sztaba żelazna 1·40 *m* 10—12 *cm* szeroka a 1½ *cm* gruba z dwiema dziurami na środku z dzwonu cerkwi maniawskiej, stare drewniane cymborjum;

w Staruni obraz Matki Boskiej;

w Żurakach, 3 obrazy skitowskie bardzo ładne i dobrze zachowane;

w Markowej, tacka blaszana z ornamentyką i napisem dokoła, z cerkwi Skitowskiej z 17 stulecia; na ołtarzu leży kamień z grobu założyciela Skitu O. Jowa z długim napisem; obraz męki Chrystusa wprawdzie zblakowany, ale jeszcze widoczny, stare lichtarze i t. p.

w Porohach dwa obrazy Matki Boskiej i Pana Jezusa, prócz tego drobniejsze rzeczy w Jabłonce, Kryczce, Kosmaczu.

W Sołotwinie istniejące zabytki opisałem w „Tygodniu“ z r. 1903, zaś ikonostas cerkwi w Bohorodczanach opisywany był bardzo szczegółowo przez ś. p. Szaraniewicza w Archeologicznych wiadomościach.

W Bohorodczanach jest także skitowska stuła, bardzo dobrze zachowana i drobne rzeczy.

W Nadwórnej znajduje się cerkiew skitowska, kupiona przez miasto po zniesieniu zakonu przez Józefa II. Stoi ona tak, jak stała w Maniawie; w niej dwa prześliczne obrazy skitowskie i dwa mniej godne uwagi; komnata mnicha z napisem, wyrytym na ścianie. Na drzwiach cerkwi dziś zblakłe, ale jeszcze dające się rozpoznać malowidło sądu ostatecznego. Były też 2 oryginalne słupy z Maniawy, używane przy budowie, z rzeźbą mnichów, z tych jeden zniszczony został, a drugi przez kogoś zabrany;

w Mołotkowie, Hwozdzie, Przerośli, Pniowie i Bitkowie są mniejszej wartości rzeczy, jednak w Przerośli znajdujące się obrazy mają pochodzić ze Skitu, (ale z klasztoru innego, nie Maniawskiego).

Cenne to pamiątki dużej wartości i konieczną jest rzeczą, by ktoś zajął się gruntownem ich opracowaniem, a oddałby historji sztuki ogromne usługi. *Karol Notz.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.